



NA „BEDNARSKIEJ” ZAWSZE NAJWAŻNIEJSI SĄ LUDZIE.

Rozmowa z Dorotą Fiett, wieloletnią nauczycielką biologii na „Bednarskiej”, główną organizatorką kultowych wyjazdów EKO, a także współzałożycielką Bednarskiej Szkoły Realnej.

Dnia 23 maja 2025r. - w ramach projektu dokumentacyjno-naukowego realizowanego przez Stowarzyszenie Dobra Edukacja przy wsparciu Fundacji PZU - rozmawiają Bartłomiej Pielak, wicedyrektor „Bednarskiej”, oraz licealistki z Bednarskiej Szkoły Realnej, Jagoda Knigawka i Barbara Wróbel.

BP: Spotkaliśmy się tutaj, żeby porozmawiać o I Społecznym Liceum Ogólnokształcącym. To jest specjalny projekt, który ma przedstawić pierwsze lata szkolnictwa niepublicznego w Polsce. I bardzo się cieszę, że mogę spotkać się z moją wieloletnią koleżanką z zakładu pracy, która - z tego co wiem, była nie tylko przy poczęciu, ale także przy narodzinach „Bednarskiej” i towarzyszyła jej przez bardzo wiele lat, więc jest skarbnicą wiedzy na temat tej szkoły.

Doroto, powiedz proszę, jakie jest Twoje podłączenie pod historię „Bednarskiej”?

DF: To tylko od razu powiem, że nie uczestniczyłam w narodzinach „Bednarskiej” - pojawiłam się tu w 1990 r., czyli rok po tym jak powstało to liceum. I co jest anegdotą tej całej historii, ze względu na to, że pracuję nieprzerwanie do dziś, jest to, że ja po prostu zapukałam do tego budynku na Powiślu. Na Powiślu mieszkalam - szukałam pracy blisko domu. I to był prawdziwy, realny powód, dla którego w ogóle tam się znalazłam.

Nigdy w mojej rodzinie nie było żadnych tradycji związanych z nauczaniem, wręcz przeciwnie. Wszyscy dziwili się: „A cóż ja będę robić, jak zostanę nauczycielką, haha”. A ja pracowałam przedtem na uniwersytecie, właściwie to byłam zaraz po studiach, ale zdążyłam już trochę popracować na uniwersytecie - na Wydziale Biologii.

Potem miałam taki epizod pracy na SGGW na Ursynowie, a jestem mieszkanką Powiśla od trzech pokoleń i ta praca, i to miejsce pracy było męczące, i chyba cały czas mnie korciło, żeby jednak zostać nauczycielką. I myślę, że miałam ku temu jakieś podstawy, czyli długoletnie doświadczenia w byciu instruktorką harcerską, jakichś tam zamiłowań przyrodniczych i oczywiście ukończenia

Wydziału Biologii na Uniwersytecie Warszawskim. Więc ciągnęło mnie do tego, żeby uczyć, żeby być z młodymi i żeby coś organizować, i po prostu pewnego dnia zapukałam do tych wielkich drewnianych drzwi na Powiślu - „Bednarskiej”.

BP: Bednarska 2/4?

DF: Tak jest, weszłam tam, to był... nie wiem, co to był za miesiąc, jakiś pewnie jeszcze wakacyjny, może to był sierpień. Nawet i przy stoliku spotkałam się z czterema osobami, które są historią tej szkoły, to znaczy była tam Magda Jaworska „Madziuka”, był tam Włodek Paszyński, była tam Krystyna Starczewska i był Andrzej Wrede. I ja po prostu przy stole im powiedziałam, że szukam pracy, i oni zaczęli ze mną rozmawiać. Według mnie tę anegdotę lepiej opowiadała jednak Madziuka.

I ja powiedziałam, że jestem biologką, a oni powiedzieli, że mają biologów, ponieważ pracowała tam Madziuka - no też tak długo jak ja, jest teraz na emeryturze, ale jeszcze blisko sercem szkoły. I żył wtedy Antek Hoffman, wielka postać, ewolucjonista, który zakładał „Bednarską”, uczestniczył w początkach i jego dzieci skończyły naszą szkołę.

I podjęłam pracę parę dni później jako sekretarka „Bednarskiej”. Później ktoś poszedł na urlop macierzyński i zostałam po paru miesiącach nauczycielką niemieckiego, a potem ktoś nie mógł uczyć chemii i uczyłam chemii. Więc tak zaczynałam pracę na „Bednarskiej”. Głównie zaczęłam od kserowania dużych ilości tekstów Marcie Ługowskiej.

JK/BW: A w jaki sposób szkoła miała wyróżniać się na tle edukacji tradycyjnej?

DF: Chyba wszystko miało być inaczej. Przyszłam w momencie, w którym ta szkoła była już opowiedziana. Tak bym to powiedziała. To znaczy, że była wielka grupa rodziców, była grupa potencjalnych nauczycieli i nauczycielek. Znam tę historię już z opowieści. To znaczy, że się skrzyknęli ludzie. To wszystko było w 1989 r. po obradach Okrągłego Stołu. Myślę, że wielka część tych ludzi była opozycjonistami po przejściach okresu upadku komunizmu i była taka niesamowita energia społeczna, żeby znaleźć dobrą edukację dla swoich dzieci, żeby założyć szkołę. Ja już przyszłam, kiedy ta edukacja się formowała. To znaczy, kiedy szkoła istniała i to istniała w budynku, ponieważ początki bednarskie sięgają te pierwsze literki A, C, D, H. To są przecież Adara, Cezar, Dendryt i Hilton. To są nazwy pierwszych akademików na Ursynowie właśnie z SGGW, w których w świetlicach mieściły się pierwsze klasy o takich nazwach jak te akademiki.

Jak ja przyszłam, to już był zwolniony budynek lub kawałek budynku przy Bednarskiej - też z powodu upadku komunizmu. Tam jeszcze działała przez chwilę biblioteka pedagogiczna i już był budynek, w którym można było rozkręcać szkołę. To już był taki następny wielki krok, ale ja już znalazłam się w tym budynku na Bednarskiej. W związku z tym byli uczniowie, uczennice, byli nauczyciele, nauczycielki, była spisana konstytucja i ukształtowane władze demokratyczne. Chyba największą nowością tej szkoły było to, że szkoła ma być w modelu państwa demokratycznego, co w tamtym roku, w tamtej Polsce było chyba najważniejsze i tak jak teraz. Zastanawiam się, co ja pamiętam z tamtych czasów – to, że naszej szkoły nie opuszczali zagraniczni dziennikarze. To znaczy, że bez przerwy ktoś chciał rozmawiać o upadku komunizmu, o Solidarności, o Polsce i w tej całej historii mieściło się założenie „Bednarskiej”.

JK/BW: A jakie główne takie wartości przyświecały założycielom tworzenia tej koncepcji szkoły?

DF: Powiem z dumą, że te, które do dziś wszystkie szkoły naszego Zespołu (Szkół) mają na swoich stronach internetowych spisane jako Idee Wychowawcze Szkoły - to się w ogóle nie zmieniło. To znaczy, że to, co zostało wtedy tam napisane, jest aktualne, czyli udział wszystkich stanów: uczniowskiego, rodzicielskiego, nauczycielskiego i absolwenckiego. Oczywiście absolwencki pojawił się później, wtedy może nawet nie był jeszcze wpisany w decydowaniu o szkole.

Wzajemny szacunek wszystkich, co brzmi patetycznie i hasłowo, ale co chyba jest istotą w ogóle wszystkich szkół Zespołu Szkół „Bednarska”. To znaczy, że każdy z każdym rozmawia jak człowiek,

i to było takie strasznie mocne. Ja miałam wtedy na początku pracy mojej 25 lat, czyli byłam niedługo po studiach, niedługo po maturze, a kończyłam szkołę, liceum warszawskie w czasie stanu wojennego, czyli jakiś absolutny zamordystyczny koszmar. Byłam bardzo dobrze wyuczona, to znaczy nie miałam problemów na studiach i tam nas uczyli, ale metodą zastraszania i absolutnie psychicznych gróźb wszelkiego rodzaju, czego pewnie nawet trochę nie byliśmy świadomi. Natomiast myślę, że wszystko dla mnie w „Bednarskiej” było w porządku, bo było w opozycji do tego, co przeżyłam w liceum. Chyba też jako uczennica tego liceum byłam bardzo świadoma, bo moi znajomi z tamtych czasów mówią, że mówiłam, że chciałabym uczyć i że robiłabym to inaczej niż szkoła, do której chodziłam.

Więc te partnerskie relacje, ale takie partnerskie to znaczy, że ja od początku czułam, że te osoby, które wspominam dzisiaj, właśnie Andrzej Wrede, Magda Jaworska, Antek Hoffman, Krystyna Starczewska, że to są wszystko mentorzy i że ja się natychmiast mam od kogo uczyć. I to chyba jest coś takiego, co mam nadzieję, że też trwa do dziś.

BP: Doroto, a powiedz mi, jak wspominasz „Bednarską” z tamtych czasów, z tego zapukania do drzwi - jej przestrzeń szkolną, tzw. pomoce naukowe, budynek. Zestawiając to z tym, czym dzisiaj szkoła jest tyle lat później...

DF: Na „Bednarskiej” zawsze najważniejsi byli ludzie. I jak myślę o tamtych czasach, to w ogóle nie myślę o tym, że to wyglądało inaczej, ponieważ współcześnie też się tak bardzo nie przyglądam wyposażeniu. Nawet nie wiem, po ilu latach „Bednarska” przeprowadzała się na Wolę, po 25 czy 20. Wtedy wszyscy się zastanawiali, czy Duch Bednarskiej zginie, skoro przeniesiemy się z klimatycznego miejsca na Starym Mieście - z Bednarskiej na Wolę - do jakiegoś budynku tysiąclatki. I okazało się, że to w ogóle nie miało znaczenia, bo najważniejsi byli i będą na „Bednarskiej” ludzie i relacje między ludźmi. Także oczywiście cieszymy się z każdego nowego komputera i każdego nowego mikroskopu i każdej sali, w której spokojnie usiądą uczniowie lub jakiegoś miejsca, gdzie można uprawiać sport. Ale to i tak zawsze będą ludzie, bo na tym polegają te szkoły.

JK/BW: Mogłaby Pani powiedzieć, jakie były nadzieje, oczekiwania i motywacje tych rodziców, którzy zdecydowali się zapisać własne dzieci do tej placówki, która właściwie dopiero zaczynała.

DF: Zdecydowanie takie, żeby robić rzeczy naprawdę i żeby być w partnerskim dialogu, i żeby nie fałszować rzeczywistości, bo myślę, że byli zniszczeni okresem komunizmu, w którym się fałszowało, co się dało. Więc też zastanawiałam się, jak myśmy uczyli, jaki był program. A my po prostu siadaliśmy od razu w zespołach, i też od razu były zespoły ludzi! nikt nie robił niczego w pojedynkę. Więc ta praca zespołowa, o której teraz się współcześnie tyle mówi, myślę, że po prostu wyznaczała nam standard od samego początku. Że zbierali się ludzie i motywowało ich to, że byli dla siebie autorytetami i wspierali się w robocie.

I że też oczywiście pracowaliśmy, nie myśląc wtedy zupełnie o zarobkach, jakichś tam benefitach, tylko było to absolutnie ideowe tworzenie jakiejś nowej rzeczywistości, w którą wszyscy byli potwornie wkręceni. Więc to jechało na bardzo dużych emocjach, ale jednocześnie było tam gigantyczne grono niesamowitych intelektualistów, doświadczonych ludzi. I myślę z dumą o tym, że mogłam przez tyle lat w tym uczestniczyć.

JK/BW: W jaki sposób uczniowie, uczennice i rodzice byli zaangażowani w podejmowanie decyzji dotyczących życia szkoły?

DF: Ułożyli konstytucję, ja już przysłałam, jak ona była gotowa, ale ona nadal się tworzyła. Założyli Sejm, Radę Szkoły i Sąd i realnie uczestniczyli w obradach tych wszystkich gremiów. I rzeczywiście ja przez lata zasiadałam w Radzie Szkoły, później trochę w Sądzie. Też potem przez wiele lat byłam w dyrekcji szkoły i przez rok byłam nawet dyrektorką szkoły. Ale i tak to było wszystko zawsze przegadywane z uczniami, z uczennicami, z rodzicami, a tak na co dzień w bieżącej pracy na zebraniach wychowawców i wychowawczyń i na zebraniach rad pedagogicznych.

I pamiętam początek mojej pracy w tym dziewięćdziesiątym roku - ona zaczęła się od tego, że ja

zaczęłam pracę jako sekretarka 15 sierpnia. A na sam koniec sierpnia pojechaliśmy na czterodniową chyba radę pedagogiczną pod Iławę do jakiegoś ośrodka wypoczynkowego. Zaprośili nas tam ludzie z tamtego województwa, którzy chcieli tam zakładać następną szkołę. W ogóle bardzo dużo osób przyjeżdżało, żeby się uczyć jak zakładać tego typu szkoły. I chyba nam zafundowali ten pobyt, ale pamiętam, że siedzieliśmy po prostu po kilkanaście godzin dziennie, świetnie się bawiąc. To znaczy, że to było po prostu intelektualnie niebywale rozrywkowe. Ale też rozrywkowe w tym sensie, że myśmy nie wygłupiali się, tylko naprawdę wymyślali potwornie ważne rzeczy. Ale to było tak interesujące i grono było tak ciekawe, że mam nawet jakieś zabawne notatki do dziś. I pamiętam to spotkanie, i pamiętam, że mój mąż odebrał mnie z dworca, jak wysiadałam stamtąd i powiedział, że po prostu w tym tłumie ludzi wysiadających rozpoznawał tych ludzi, którzy tam byli, bo ich oczy błyszczały inaczej. To znaczy, że to była taka atmosfera.

BP: Ja mam pytanie trochę dotyczące kwestii programowych, bo bardzo mnie to interesuje - z tego co, Doroto, powiedziałaś o tych spotkaniach grup ludzi, którzy coś wspólnie wymyślali. Czy istniało w tamtych czasach, czy przypominasz sobie coś takiego jak podstawa programowa?

DF: Absolutnie nie, w ogóle ani przez sekundę. Może ona istniała, ale myśmy o niej nic nie wiedzieli. I nadal jakby mnie ktoś spytał dzisiaj, jakby ktoś przyszedł z kuratorium i powiedział: „Wy tłumacz się z tamtego czasu”, to uważam, że uczyliśmy najlepiej, jak się dało - na najwyższym poziomie. Chociaż nie mieliśmy super pracowni, super mikroskopów, to już od pierwszego roku, bo już znałam relacje z poprzedniego i od następnego, załatwialiśmy ten sprzęt, jeździliśmy na zajęcia terenowe i stworzyliśmy wtedy właśnie z Madziuką i Antkiem system zajęć terenowych, które, powiedzmy sobie głośno, istnieją do dziś w wielu szkołach. I to wtedy się tam rodziło, ale to dlatego, że po prostu Madziuka miała dostęp do takich gajówek na Podlasiu. Jechaliśmy tam własnym samochodem, biorąc pod pachę jakiś sprzęt, jaki się dało. Też zdobywaliśmy ten sprzęt, bo uniwersytety czy jakieś placówki badawcze wymieniały sprzęt, więc myśmy sobie radzili i myślę, że bez wstydu można to powiedzieć.

BP: A na samym początku działalności szkoły, jak dużo uczniów było?

DF: Na samym początku stworzyła się szkoła, która założyła właśnie cztery klasy po 15 osób, jak ja przyszedłam, to one już były. Pierwszy rocznik nazywał się Pierwotniaki, a kolejny Fuksy, a potem Śledzie. I właśnie próbowałam wczoraj się dowiedzieć od mojego męża, który pamięta tamte czasy, że te nazwy były nadawane przez kolejny rocznik poprzedniemu rocznikowi i Śledzie wzięły się stąd, że tam były chyba tylko dwie klasy w roczniku - Babilon i Rezerwat, i że było chyba 20 osób na miejsce, już wtedy. W budynku nie było więcej sal, potem dopiero zostały podzielone duże sale na małe. Nie można było przyjąć czwartych klas, więc w pierwszym roczniku były cztery klasy, w drugim roczniku były też cztery klasy, a potem były dwie, a potem przez wiele lat trzy, a ostatecznie chyba dwanaście w ogóle w szkole, czyli średnio po trzy na rocznik. Natomiast było gigantyczne zainteresowanie takim nowym modelem edukacji.

JK/BW: Czy szkoła wprowadzała jakieś alternatywne metody oceniania?

DF: Zdecydowanie, od samego początku były to pisane recenzje, nie było wtedy jeszcze komputerów i drukarek, znaczy może już były, ale jeszcze niedostępne powszechnie. Do dziś bardzo wielu absolwentów, absolwentek, którzy, które oczywiście są już nauczycielami, nauczycielkami naszych szkół, przynosi nam, starszym, takie karteczki, takie po prostu fiszki, na których ręcznie wypisywaliśmy każdemu recenzję, po czym się je cięło na paseczki i uczeń, i uczennica dostawał, dostawała kopertę z paseczkami, które albo archiwizował, archiwizowała, i ma je do dziś, albo rozsiewał, rozsiewała je po świecie. I robiliśmy to regularnie, tym bardziej, że bywały semestry, a bywały takie okresy, kiedy komuś przychodziło do głowy robić jakieś trymestry i wtedy tych karteczek było więcej, to było chyba nie do wytrzymania. Ale tak od samego początku nie były to oceny liczbowe, typu - trzy z plusem, siadaj - tylko był to dialog z uczniem, uczennicą o tym, co ma poprawić, co zrobić lepiej albo co wyszło gorzej. Było to wyjątkowe. Było to niezwykle angażujące i tak już zostało, ale to było wyjątkowe.

JK/BW: Czy w tamtych czasach ktokolwiek miał pomysł na to, żeby prowadzić jakąś formę ewaluacji, czy coś się udało, czy coś się jednak nie udało, czy coś należało zmienić?

DF: Ja myślę, że ta ewaluacja działa się nie tak, jak teraz mówimy i wtedy pewnie nawet tego słowa nie używaliśmy. Natomiast przez te ciągłe spotkania wszystkich ze wszystkimi, to znaczy małych grup, czyli zespołów przedmiotowych, dużo jeździliśmy na wycieczki. Na te wycieczki zawsze jeździło kilkoro nauczycieli i nauczycielek. To był moment, kiedy mogliśmy po prostu pobyc razem, tak jak jest to do dziś i bardzo dużo mieć czasu na rozmowy i z uczniami, i z uczennicami, i sami ze sobą o programie. Więc powiedziałabym, że choć nikt tego nie nazywał świadomie, ani o tym w ten sposób nie myślał, to myśmy cały czas po każdym wydarzeniu podsumowywali je. Jednak przyszedł tu jako harcerka – nawiążę do tej metody harcerskiej - każdą taką imprezę harcerską zawsze się podsumowywało. Więc myśmy mieli tę praktykę i ten pomysł, żeby to robić.

Też dzieliliśmy się z innymi spoza naszej szkoły, więc inni nas widzieli i mogli to komentować, i nas pytać, i te pytania zadawane mądrze - też zawsze dają moment do zastanowienia się „hej, czy dobrze to zrobiłeś, czy można by to poprawić”. Więc takiej ewaluacji, o jakiej myślisz - współczesnej, to nie. Natomiast takiej, żeby sobie zadawać pytanie, czy nam to wyszło i trzeba to zmienić, to myślę, że zawsze i ciągle.

JK/BW: Czy powiedziała Pani trochę o tym, jak wyglądała praca zespołowa i właśnie realizacja takich produktów edukacyjnych w grupach?

DF: O, matko! Produktów edukacyjnych? Straszne słowa. Ja przyszedłam na „Bednarską” w drugim roku - jak przyszedłam, to już ktoś stał się moim mentorem. Nie dlatego, że ktoś go wyznaczył do tego. Nie przyszedł dyrektor, wtedy Andrzej Wrede (przez chwilę był dyrektorem) czy potem Krystyna Starczewska. Nie było tak, że ktoś przychodził i mówił: „Ta osoba się tobą zajmie”. Po prostu tak się stało, widocznie ta osoba, Madziuka, miała taką skłonność do tego, a poza tym byłyśmy obie biolożkami i naturalnie zebrałyśmy się do pracy. Współpracowałyśmy też z chemikiem, właśnie Andrzejem Wrede, a potem z jakimiś kolejnymi osobami, nie wiem, nawet z anglistami, nauczycielami WF-u. Co się dawało robić razem, to się robiło razem.

Też od początku był taki pomysł, żeby robić rzeczy naprawdę i żeby uczyć ludzi, jestem przedstawicielką przyrodniczego przedmiotu - zatem praktycznie, doświadczalnie, ale też tak, żeby dawać ludziom wyzwania. To znaczy dać temat, niech się uczniowie, uczennice zmierzają, najwyżej im nie wyjdzie, ważne - uczyć się na błędach, pozwalać na te błędy. Te wszystkie rzeczy, które chyba są... no właśnie, niedawno wróciłyście ze mną z wyjazdu przyrodniczego, to, co tam było, jest chyba tym, co powstało te 36 lat temu, po prostu. To jest ta sama myśl, żeby robić to naprawdę.

JK/BW: Te wyjazdy są naprawdę niezapomniane. Czy mogłaby Pani nam powiedzieć, jak szkoła odpowiadała na indywidualne potrzeby uczniów i uczennic?

DF: Od pierwszych lat były na „Bednarskiej” osoby z niepełnosprawnościami, nawet takimi bardzo poważnymi, typu porażenie kończyn - nawet wszystkich i takie osoby, którymi trzeba było się naprawdę bardzo zaopiekować. Pamiętam taki wyjazd, na którym uczniowie zbudowali lektykę i nosili osobę z niepełnosprawnością po lesie. Takie rzeczy się zdarzały, a my radziliśmy sobie bez żadnego dodatkowego wsparcia. Ale spytałyście o takie, rozumiem, też zwykłe kłopoty szkolne. Myślę, że różnica ze szkołą systemową była wtedy chyba tak bardziej widoczna niż teraz. Te wszystkie słowa, jakich używamy - ewaluacje, dysleksje, opieka psychologiczna, są systemowo już wprowadzone, a wcześniej funkcjonowały w taki sposób, że w ogóle poświęcało się sobie nawzajem bardzo dużo czasu, a wychowawcy, wychowawczynie też od początku byli zatrudniani na większą liczbę godzin niż przeciętnie w innych szkołach i mieli czas dla swoich uczniów i uczennic. Jeździli z nimi na wycieczki, realizowali z nimi zadania inicjatywy społecznej, bo taka działalność też od początku istniała, bo też „Bednarska” wiedziała, że w pewien sposób jest elitą. Elitą, bo tworzy szkołę finansowaną, więc ma jakiś dług do spłacenia światu, a wszelkie inicjatywy społeczne były, są po prostu od razu wpisane w program wychowawczy szkoły. Więc z tego powodu, jak się z uczniem, uczennicą rozmawia i się z nim, z nią jest, to można rozpoznać ich potrzeby i po prostu wspierać.

Czy to było fachowe i dobre wsparcie? Myślę, że jakby teraz to tak bardzo rozgrzebywać, to na pewno tam było bardzo dużo błędów i odprysków takiej pracy. Tej szkoły by nie było, gdybyśmy wtedy tak odważnie jej nie zakładali, a po drodze zrobiliśmy jako ekipa całe mnóstwo błędów. Ale trudno oceniać z dzisiejszej perspektywy świat, który wyglądał zupełnie inaczej.

JK/BW: Czy powiedziała Pani trochę o tym, jak wyglądała praca zespołowa i właśnie realizacja takich produktów edukacyjnych w grupach?

DF: O, matko! Produktów edukacyjnych? Straszne słowa. Ja przyszedłam na „Bednarską” w drugim roku - jak przyszedłam, to już ktoś stał się moim mentorem. Nie dlatego, że ktoś go wyznaczył do tego. Nie przyszedł dyrektor, wtedy Andrzej Wrede (przez chwilę był dyrektorem) czy potem Krystyna Starczewska. Nie było tak, że ktoś przychodził i mówił: „Ta osoba się tobą zajmie”. Po prostu tak się stało, widocznie ta osoba, Madziuka, miała taką skłonność do tego, a poza tym byliśmy obie biolożkami i naturalnie zebraliśmy się do pracy. Współpracowałyśmy też z chemikiem, właśnie Andrzejem Wrede, a potem z jakimiś kolejnymi osobami, nie wiem, nawet z anglistami, nauczycielami WF-u. Co się dawało robić razem, to się robiło razem.

Też od początku był taki pomysł, żeby robić rzeczy naprawdę i żeby uczyć ludzi, jestem przedstawicielką przyrodniczego przedmiotu - zatem praktycznie, doświadczalnie, ale też tak, żeby dawać ludziom wyzwania. To znaczy dać temat, niech się uczniowie, uczennice zmierzają, najwyżej im nie wyjdzie, ważne - uczyć się na błędach, pozwalać na te błędy. Te wszystkie rzeczy, które chyba są... no właśnie, niedawno wróciłyście ze mną z wyjazdu przyrodniczego, to, co tam było, jest chyba tym, co powstało te 36 lat temu, po prostu. To jest ta sama myśl, żeby robić to naprawdę.

BP: Czy przypominasz sobie z tamtych czasów jakieś ciekawe relacje, które szkoła miała z jakimiś instytucjami, organizacjami?

DF: Chyba nie umiem nazwać tych organizacji. Wiem, że bardzo dużo się działo. Tak jak mówię, też te wszystkie nowo powstające, obecnie nazwalibyśmy NGO-sy, na pewno się nami bardzo interesowały.

Myślę, że nasi uczniowie i uczennice byli bardzo aktywni - właśnie jeśli chodzi o tę stronę świadomości bycia w demokratycznej instytucji, w demokratycznym państwie. To znaczy, że nasza szkoła bardzo zwracała na to uwagę, w związku z tym nasi uczniowie, uczennice na pewno różnili się od innych tym, że byli śmiali, byli świadomi, umieli o tym rozmawiać, rozumieli, co dzieje się w świecie, w jakich czasach przyszło im żyć, bo ich rodzice też byli ludźmi, którzy się po prostu aktywnie włączali w to tworzenie nowej rzeczywistości.

Myślę, że z tego powodu musieliśmy współpracować z Fundacją Batorego albo z jakimiś organizacjami światowymi, natomiast ja nie potrafię nazwać tych instytucji, nie chciałabym ich pomylić, więc mam takie przekonanie.

Przychodziłam do pracy i niejednokrotnie uciekałam przed dziennikarzami, dziennikarkami - gdzieś się chowałam, bo nie miałam już siły z nimi rozmawiać. Pamiętam, że BBC mnie kiedyś napadło. Uczniowie i uczennice doskonale wiedzieli, że ja już nie chcę z nimi rozmawiać, zatem zwabili mnie do jakiegoś pomieszczenia, gdzie byli ci dziennikarze BBC, którzy chyba bardzo chcieli, żebym opowiedziała jakieś wspaniałe rzeczy. Jak mnie pytali, dlaczego przyszedłam do tej szkoły, to powiedziałam, że szukałam pracy blisko domu. I tak straszliwie ich zawiodłam, bo oni chcieli słuchać o tych wszystkich demokratycznych hasłach, a ja już nie miałam siły o tym opowiadać. Powiedziałam im tę najkrótszą, oczywiście nieatrakcyjną dla nich prawdę, choć prawdę.

BP: Słuchaj, ja mam jeszcze jedno pytanie. Skąd brali się ludzie na „Bednarskiej”? Mówię o nauczycielach i nauczycielkach.

DF: W tamtym czasie Krystyna Starczewska szukała wśród znajomych i bardzo duża grupa ludzi czy nawet większość to przedtem nie byli nauczyciele, nauczycielki. Na przykład ci przywołani przeze mnie znakomici biolodzy byli pracownikami naukowymi, więc było dużo pracowników naukowych. Jeśli chodzi o takie miejsce, gdzie się knuło, żeby powstała „Bednarska”, to działo się to na Uniwersytecie Warszawskim u profesora Byrskiego. Zatem bardzo dużo osób wywodziło się właśnie z Uniwersytetu Warszawskiego jako pracownicy naukowci bądź osoby, które robiły tam doktorat czy pracowały. Więc myślę, że takie kręgi uniwersyteckie i znajomi zupełnie wystarczały na początku, żeby mieć kadrę nauczycielską.

Też nie było takiego systemu rekrutacji, żeby wieszać ogłoszenie, że szukamy np. anglisty i myślę, że to się bardzo długo jeszcze odbywało pocztą pantoflową wśród krewnych i znajomych. Też czasem z lepszym lub gorszym skutkiem, ale ostatecznie z lepszym.

BP: Wracając do właśnie samego budynku tej szkoły, to czym właściwie ta sama przestrzeń szkolna różniła się od takich tradycyjnych placówek.

DF: Wyróżniała się ogromną przestrzenią holu, który był jasny, wielki i wszyscy musieli minąć się w nim, żeby gdzieś pójść. Jak mnie w ostatnich latach pytał jakiś architekt, co uważałybyś za najważniejsze w szkole, to mówiłam - hol, przez który każdy musi przejść, żeby się zobaczyć i ze sobą porozmawiać. Mówię na serio.

W Bednarskiej Szkole Realnej, w której się teraz znajdujemy, tym bednarskim holem jest sala zwana telewizyjną (bo to jest budynek po telewizji), w której jest jednocześnie miejsce do uprawiania sportu i miejsce do spotkań wieców demokracji szkolnej. I było też wiele pokus, żeby podzielić tę przestrzeń na sale lekcyjne, których nam tak bardzo brakuje. Nie zrobiliśmy tego.

Uważam, że to miejsce, przez które wszyscy przechodzą, czy to jest stołówka, czy to jest kuchnia, czy to jest po prostu jakiś otwarty sekretariat, tak jak u nas w szkole, że tym się wyróżniała ta szkoła, że wszyscy w niej byli i nie było jakichś takich stref: „Ach, tu jest pokój, gdzie się spotykają nauczyciele, a tu jest pokój, gdzie są uczniowie, a tu są osobne toalety dla jednych, a tu dla drugich”. Wszystko było od razu wspólne.

No i też była wielka stołówka. To też było wspólnie. I ta stołówka była otwarta do wieczora i najwięcej się tam działo w piątki po południu, kiedy nikt nie chciał z niej wychodzić. Tak jak zresztą u nas tutaj teraz.

JK/BW: Czy może Pani podzielić się jakimiś historiami ciekawych osobowości, które są ważną częścią tej placówki?

DF: Chyba trzymam się tych przywołanych. Wydaje mi się, że to są takie osoby, które były bardzo, bardzo ważne na samym początku, bo ja też byłam bardzo młoda i tuż po studiach, a one dały mi taki ogromny kredyt zaufania. To znaczy oczywiście miałam w sobie energię życiową, którą mam do dziś, ale miałam też energię młodości, miałam za sobą studia na bardzo dobrym wydziale biologii, miałam za sobą wiele lat prowadzenia obozów harcerskich i takiego bycia w lesie, ale spotkałam osoby, które zmuszały mnie do tego, żebym się zastanawiała, po co coś robię, w jaki sposób coś robię, czemu to ma służyć, co z tego wyniknie. Nawet jak robiłam błędy, to po prostu nakierowywały mnie w lepszą stronę, delikatnie tylko dając znać, czy coś jest nie tak. Z perspektywy czasu myślę, że to były naprawdę wspólnie osoby.

Przywołam też Dorotę Żuchowicz, która jest niewiele ode mnie starsza, ale była już wtedy wicedyrektorką. To ona wprowadzała mnie, tak jak to teraz robi z wami na lekcjach biznesu i przedsiębiorczości. Wtedy swoją młodszą koleżankę wprowadzała w taki etos pracy biurowej, nawet tej sekretarskiej na początku, a potem jakiejś związanej właśnie z organizacją, z finansami.

BP: Czy myślisz, że „Bednarska” jako szkoła miała jakąś siłę rażenia, w tym sensie, że te wszystkie rzeczy, o których opowiadasz, cały ten ferment, który tam był w wykładach, czy on gdzieś dalej został podany?

DF: Tak, ale myślę, że jednak za mało. To znaczy został - powstało bardzo dużo niepublicznych szkół. Część z nich pewnie już zniknęła z powierzchni, bo się nie utrzymały, ale myślę, że wtedy to był wybuch tych niepublicznych szkół. Mówi się, że „Bednarska” była pierwsza. Myślę, że istniały przedtem jakieś szkoły katolickie lub tego typu, więc ja nigdy nie mówię, że ona była zupełnie pierwsza. Ale „Bednarska” to była taka pierwsza „Bednarska”, więc na pewno był ferment i na pewno ludzie o to pytali i nie tylko w Polsce, ale w innych krajach. Natomiast z tego powodu, o którym powiedziałam, wszyscy byliśmy tak straszliwie zaangażowani w tę pracę, że nie było kogoś, kto by od początku myślał, żeby to promować i żeby świadomie powodować, żeby takie szkoły powstawały. Myślę, że to się działo bardzo powoli.

Obecnie pracuję gdzieś pod granicą północno-wschodnią i widzę, jak bardzo to nie dotarło do dziś. Są oczywiście jakieś pojedyncze niepubliczne szkoły, ale „Bednarska” nie przedarła się tam i te idee się nie przedarły, i to się nie wydarzyło. Być może mogło, ale nie naszymi rękami - tych, którzy to robili od środka. Chyba że mogliśmy stworzyć jakąś placówkę osobną, aby to promować. Tak bardzo byliśmy zaangażowani w robienie tych naszych szkół, że nie wiem, może to jest dużo i tak to, co się wydarzyło. Tak sobie myślę, że przedmioty rozszerzone to jest „Bednarska”. Ja nawet uważałam, że to był plagiat. To znaczy, że to było coś takiego, że myśmy stworzyli przedmioty sprofilowane i rozszerzone, i uczyliśmy takimi trybami. Były takie przedmioty jak biologia dla humanistów i biologia dla matematyków. Janusz prowadził biologię dla matematyków, a Madziuka prowadziła biologię dla humanistów i w ogóle były takie pomysły bardzo ciekawe, edukacyjne. Potem ministerstwo ogłosiło maturę rozszerzoną i przedmioty rozszerzone. Uważam, że ta myśl wywodzi się z „Bednarskiej”.

BP: A co myślisz o recenzjach? Czy recenzje, które są pisane w szkołach podstawowych, recenzje klas 1-3, czy one mogą mieć swoje źródło w „Bednarskiej”?

DF: Tak, też tak uważam, że tak może być. Jak najbardziej. To znaczy właśnie te takie podstawowe rzeczy. Szkoda, że przedarły się te rzeczy mniejsze, a nie ten szacunek wzajemny dla ludzi.

BP: To jest pytanie dość dla mnie ważne. Gdybyś właśnie dzisiaj, po tych wszystkich doświadczeniach Twoich, tej takiej przeciekawej drodze, co byś chciała przekazać, gdybyś mogła to przekazać szkołom polskim.

DF: Ktoś mnie kiedyś o to spytał. Podeszła do mnie na jakiejś konferencji w Gdańsku pani, która właśnie została dyrektorką 600-osobowej szkoły podstawowej państwowej. Była niesamowicie otwarta, niesamowicie chętna do pytania, jak robić dobrą szkołę i nie kryła tego, że jej pracownicy, nauczyciele, nauczycielki, rodzice i uczniowie, uczennice zastygli gdzieś zupełnie w jakiejś innej szkole. Spytała mnie: „Słuchaj, czy masz dla mnie jakąś dobrą radę?”. Ona imponowała mi tym, że była dyrektorką państwowej 600-osobowej szkoły. W ogóle nigdy nie byłam w takiej sytuacji, więc dla mnie to ona była bardzo ważną osobą i tak mnie zbila z pantafelów tym pytaniem. Cóż ja mam jej poradzić? Przecież ja się na tym nie znam. Ale powiedziałam zdanie, z którego potem jednak byłam dumna. Powiedziałam jej: „Słuchaj, według mnie, tak jak stoicie, tak jakby was taka stopklatka złapała na korytarzu, te wszystkie osoby. Wszystkie, które należą do tej społeczności, tak jak jesteście. Siadźcie tam, gdzie jesteście. Odwróćcie się do tych osób, które są najbliżej i zacznijcie ze sobą rozmawiać o tym, czym jest wasza szkoła”. I uważałam, że to jest prawdziwa odpowiedź, tak uważam do dziś. Póki ludzie nie zaczną w ogóle zastanawiać się nad tym, gdzie są, po co są i po co tam się zebrali, to żadne odgórne przepisy im w tym nie pomogą.

JK/BW: A czy jest coś, co Pani zrobiłaby inaczej, tak patrząc z perspektywy czasu?

DF: Patrząc z perspektywy czasu, bardzo dużo nauczyłam się rzeczy dotyczących innych ludzi, ich potrzeb. Też tych, które były dla mnie nieoczywiste. To jest to, co ja mówię, że żyjemy w innych czasach.

Według mnie te czasy przyspieszyły wykładniczo. Kwestie różnych mniejszości, kwestie właśnie różnych dysfunkcji, to są jakieś takie bardzo delikatne rzeczy, których trzeba było się bardzo długo uczyć i tak strasznie żałuję, że te 35 lat temu tej wiedzy nie było. W ogóle nie było w tym państwie tej wiedzy, nie było komu uczyć tego wszystkiego i teraz myślę sobie, że to jest taka wielka strata, ale nie można było wtedy na to poradzić, bo nikt tego po prostu nie wiedział.

Tylko teraz z perspektywy, czasem wyciągane są różne sprawy albo ktoś przychodzi z żalem, że 20 czy 30 lat temu stała mu się jakaś krzywda. Stała się krzywda różnym osobom, czy to pracownikom, czy to uczniom, uczennicom, czy to ich rodzicom, czy nawet dyrektorom szkół i teraz z perspektywy lat różni ludzie to próbują bardzo oceniać i bardzo krytykować. Wzbiera we mnie żal i wielka przykrość, że się działy różne rzeczy, natomiast naprawdę wtedy nie było tej wiedzy i myśmy jej nie znali. Kierowaliśmy się intuicją. Myślę sobie, że trochę ludzi to wykorzystało. To jest taka rzecz, że myślę sobie, że też wtedy takiej wiedzy nie było, jaka szkoda.

JK/BW: A czy jakieś innowacje pedagogiczne zostały wprowadzone w szkole od momentu jej powstania?

DF: Chyba trzeba by zrobić osobne seminarium... Ja mogę powiedzieć o tych innowacjach, w których uczestniczyłam. To znaczy właśnie takich, że się uczy w małych grupach. Takich, że się uczy metodą dyskusji, otwartości i posiadania własnego zdania, co było bardzo nieoczywiste w tamtych czasach. Uczniowie mogli zabrać głos, mogli sprzeciwić się nauczycielowi czy nauczycielce i mogli powiedzieć: „Pan, Pani nie ma racji” albo mówić do nich nawet po imieniu. Bośmy wszyscy byli na początku po imieniu i do dziś w różnych kręgach mniejszych tak bywa. To też było świetne i nie umniejszało szacunku uczniów do nauczycieli w żaden sposób.

To jest chyba ta podstawowa rzecz, ta demokracja. Jak ktoś mnie też dzisiaj pyta, czym się wyraża demokracja u Was w szkole, to według mnie tym, że pytasz ucznia, co on o tym sądzi. O czymkolwiek, czy to jest sprawa naukowa, czy to jest sprawa ideowa, czy sprawa wychowawcza. To jest w ogóle taka podstawowa innowacja, której być może nikt by nie nazywał innowacją, bo tak się wydaje oczywista.

Natomiast pozostałe dotyczyły sposobu uczenia i oceniania, To znaczy też takiego na przykład, że się właśnie dawało szansę, żeby nawet grupy się oceniały, uczniowie oceniali się nawzajem. Więc odejście od tego takiego systemu, że tylko pan i władca, nauczyciel, powie ci, co to jest warte. Że w ogóle on, że ona ma prawo ci mówić to, co jest warte, a co nie jest? Może tylko takie mierzalne, że wyszedł ci dobry wynik z matematyki. To jest chyba taka podstawowa innowacja.

Potem były właśnie te grupy, żeby bardzo dobrze uczyć przedmiotów rozszerzonych, bardzo dobrze przygotowywać osoby zainteresowane, a żeby osobom niezainteresowanym odpuszczać ten nadmiar jakiegoś takiego zajmowania się przedmiotem, który kogoś nie interesował. Tworzone były grupy, tworzone były wyjazdy, jakieś seminaria, jakieś takie formy, żeby uczniowie, uczennice zainteresowani zajmowali się tym, co ich naprawdę interesuje, a mogli mniej poświęcać uwagi tym rzeczom mniej ważnym. A z tego powodu, żeby nie byli też poniżani tym, że to dostaną jedynkę, a nie czwórkę, bo zajmują się czymś innym. Nie. Mogą zadeklarować, że tego chcą się uczyć mniej i za to „mniej” mogą dostać bardzo dobrą ocenę.

No i oczywiście cały system wyjazdów przyrodniczych, któreśmy wtedy stworzyli i które istnieją do dziś bardzo silnie w I SLO, w Realnej, a i w innych szkołach też.

BP: Doroto, myślisz, że coś zgubiliśmy w ciągu tych trzydziestu kilku lat? Bo przecież nie mówimy tylko o szkole założonej wtedy, ale mówimy też o całym zespole szkół, który jest efektem tych działań, tych myśli. Czy jest coś, co zgubiliśmy, o czym zapomnieliśmy?

DF: Tak. Znaczy nie tyle zapomnieliśmy, co zgubiliśmy, bo świat poszedł do przodu, a myśmy zwiększali profesjonalność naszej pracy. Czyli bardziej myśleliśmy, że pracujemy, żeby dostać wynagrodzenie i że to jest bardzo ważne, prawda?

I nie śmieję się z nikogo, kto uważa, że to jest bardzo ważne albo nawet z kogoś, kto mówi, że przychodzi do pracy, bo chce się utrzymać. Chodzi mi tylko o to, że profesjonalizując nasze działania, traciliśmy tego ducha entuzjazmu, bo po prostu coraz więcej rozmawiało się o sprawach formalnych, nawet o owych podstawach programowych, o świadectwach, dziennikach i wszystkich rzeczach, które powodują, że ta edukacja jest w naszym kraju formalna, profesjonalna i szkoła ma wszystkie uprawnienia i spełnia wszystkie normy, działają procedury ochrony małoletnich itd.

To są wielkie korzyści, ale jednocześnie w całym formalizowaniu takiego dzieła, które było wybuchem entuzjazmu gromady ludzi oszołomionych nowością, upadkiem komunizmu i zmianami w państwie, na pewno po prostu gubi się te rzeczy, które się biorą z nieprofesjonalnego i niesformalizowanego działania.

JK/BW: A czy szkoła też na początku swojej działalności albo potem dysponowała zasobami bibliotecznymi albo wyposażeniem w sprzęt komputerowy?

DF: Tak, od samego początku tak było. Najpierw mieliśmy do dyspozycji taką bibliotekę pedagogiczną, która po prostu istniała w naszej szkole. Potem, po latach, w każdej sali była biblioteczka. Myślę, że wtedy, kiedy nie było dostępu do internetu i bieżącego korzystania z takich zasobów, to książki były bardzo wartościowe i trochę nawet były takim wyrazem tego, że tu się odbywa praca intelektualna. Więc myśmy po prostu przynosili nasze własne książki do szkoły i stawiali je na półce, dawali sobie w prezencie, zawozili je na zajęcia i one zawsze były. Zawsze stały książki w salach. Uważam, że te książki były nawet takim symbolem i zabieganiem kolejnych dyrektorów, dyrektorek o biblioteki w szkołach.

Jeśli chodzi o sprzęt komputerowy, to też pamiętam, że na samym początku „Bednarskiej” jakaś firma komputerowa wyposażyla pracownię komputerową i też były pieniądze na to, żeby przeszkolić nauczycieli, nauczycielki, więc takie rzeczy się działy.

JK/BW: A czy wystąpiły w szkole jakieś trudne albo kryzysowe momenty?

DF: Mnóstwo. Ja zawsze mówię, że nie robi błędów ten, kto nic nie robi i że przy każdej pracy po prostu są odpryski działań różnych, więc tak. Myślę, że jak intensywna była ta praca, tak dużo było różnych konfliktów, różnych problemów, różnych błędów czy nawet krzywd. Także na pewno tak i na pewno było to związane z tą intensywnością. Także nawet być może ktoś by to ocenił, że było ich więcej niż gdzie indziej, bo ludzie zażarcie walczyli o ideę. Nie dopuszczali, aby działa się jakaś bylejakość, więc jeśli ktoś ją chciał tworzyć, to popadaliśmy w konflikt.

JK/BW: I jak sobie z nimi Państwo radziliście?

DF: Tak jak sobie radzimy do dziś, to znaczy rozmawiając, mediując... Oczywiście wtedy nie używano słowa mediacja, ale sąd szkolny istniał od początku istnienia „Bednarskiej”, więc niektóre sprawy trafiały do sądu i wszyscy mogli ich słuchać. One się wydarzały wtedy częściej niż pewnie się wydarzają teraz. Mam nadzieję, że zawsze zaczynało się od rozmowy osób zainteresowanych, bo taki był standard wyznaczony od samego początku. Ale czy to się zawsze odbywało? Nie wiem.

BP: Czy myślisz, że „Bednarska” mogłaby powstać w innym miejscu niż Warszawa? I z drugiej strony, czy myślisz, że taką szkołę dzisiaj można by założyć i czy byłoby jakieś takie kontekstowo-kulturowe zrozumienie dla tej filozofii w edukacji?

DF: Myślę, że w tamtych czasach mogła powstać jeszcze w Gdańsku. Naprawdę. Nie wykluczam, że do dziś w takich miejscach jest to możliwe. Jak bywam w różnych miejscach w Polsce, bo też się tym teraz interesuję bardziej, to czuję, że być może nadal powinniśmy tam jeździć i trochę więcej robić w tej sprawie. Też powiem, że ta szkoła, którą założyliśmy 25 lat później, czyli Bednarska Szkoła Realna, którą już tworzyłam też sama, znaczy nie sama, tylko bardzo byłam w nią osobiście zaangażowana, oczywiście z grupą ludzi też z „Bednarskiej”, powstała 25 lat po tamtym otwarciu trochę jako takie nowe otwarcie.

Od samego początku tworzona, teraz właśnie będzie dziesięciolecie, rozwijała Ośrodek Rozwoju Szkół Realnych, taką instytucję i Fora Edukacji Realnej, czyli konferencję. Dzięki tej działalności powstały jeszcze trzy szkoły realne w Polsce, które nie są w zespole Szkół „Bednarska”, ale które odpączkowały od Realnej.

Myślę, że już bardzo świadomie wiedzieliśmy, że zakładając nową szkołę i wkładając w nią tak strasznie dużo energii, jak te 25 lat temu w „Bednarską”, byliśmy już świadomi, że trzeba od razu o tym głośno mówić. Od razu zapraszać ludzi do współpracy i być w tym aktywnym, a nie czekać, aż ktoś przyjdzie i spyta.

BP: Czy była jakaś szkoła, osoba albo książka, która szczególnie wpłynęła na wizję „Bednarskiej”?

DF: Tak, myślę, że postać Janusza Korczaka.

BP: To ja może mam już ostatnie, ostatnie pytanie, i o jest dobre pytanie do Ciebie, Doroto. Czy myślisz, że dzisiaj w 2025 roku jest sens zakładać szkołę niepubliczną? I czy zakładając szkołę niepubliczną, i zakładając, że odpowiedź będzie pozytywna, jesteśmy skazani na elitaryzm, przede wszystkim finansowy?

DF: Tak. Powiedziałabym na drugie pytanie, że jesteśmy skazani. Wcale nie jestem dumna z tego, że to się nazywa szkoła niepubliczna, bo wolałabym cały czas zakładać szkoły publiczne. Od tamtych lat zakładanie szkoły niepublicznej jest pewnego rodzaju, według mnie, państwową porażką. To znaczy, że powinniśmy byli zakładać szkoły... Myśmy dobrze zrobili, bo nie było innego wyjścia. I zrobiliśmy wspaniałe rzeczy, ale szkoda, że żyjemy w kraju, w którym nadal trzeba zakładać szkoły niepubliczne. Byłoby fajnie, gdybyśmy mogli zakładać szkoły publiczne, bezpłatne, w których moglibyśmy robić to wszystko, cośmy robili w tej niepublicznej. Jeszcze się tym dzielić ze wszystkimi i dostać uścisk w dłoni Ministra Edukacji Narodowej.

BP do JK/BW: Czy macie jeszcze jakieś inne pytania od siebie? niekoniecznie związane z tymi z listy.

JK/BW: Chyba już nie. Pani bardzo dużo mówiła. [śmiech]

BP: Na szczęście. Bardzo miło się słuchało. Też mi się wydaje, że to wszystko.

DF: Dzięki, że mnie wysłuchaliście, dziewczyny. To wspaniałe. W ogóle ja nie wiedziałam, że te dziewczyny będą też rozmawiać. Jest mi bardzo miło, że zostałyście wkręczone w taką sytuację i że mogłam Wam tę historię opowiedzieć.

BP: To też jest sytuacja swego rodzaju wypadkowa. W tym sensie, że moi ludzie po prostu byli zajęci z różnych względów szkolnie i poprosiłem Karolinę Hakę, aby znalazła kogoś w Realnej i ona to zrobiła szybko. Więc to było absolutnie typowe pytanie i działanie. Od 36 lat widzieliśmy sytuacji takich kilka tysięcy, kiedy po prostu ludziom się chce, bo wierzą w to, że warto i nie ma sytuacji bez wyjścia.

DF: Tak jest. Właśnie takie i mam nadzieję, że czują się elementem tego systemu.

JK/BW: Oczywiście. Ta rozmowa utwierdziła mnie w przekonaniu, że wybrałam dobrą szkołę.